Nr. 7 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 kwietnia 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					▌15	■	■	15▌				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarnykozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

TREŚĆ NUMERU 7:

Antoni Pisuliński: Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych (dok.). — *Jerzy Potocki:* Łowy w Dawidgródku, Luty 1930. — *Mieczysław Mniszek Tchorznicki:* Utracone szczęście (feljeton (c. d.) *Janusz Domaniewski:* Uwagi o „Słowniczku nazw zwierzyny". — *Gen. Walery Maryański:* Amunicja krajowa. — Mozaika dzicza: *Hieronim Tarnowski:* Zepsuty dublet. — Korespondencje.— Sprawy Towarzystwa

Nr. 7 We Lwowie, 1 kwietnia 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

III

Kozioł wodny — kozioł trzcinowy (trzcinnik)

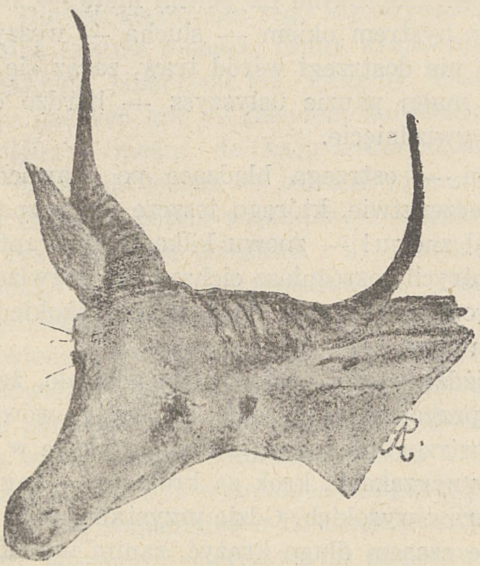
(Dokończenie)

Na takich samych terenach inundacyjnych, na których żyje kozioł wodny, żyje także inna antylopa — daleki krewniak — kozioł trzcinnik. Naukowa jej nazwa: Cervicapra arundinam — po ang. Reedbuck, po kafarsku Nsengo (dolna Zambeza) lub Mpojo (Szira).

Jak obok traw „mabande", na których przeważnie żeruje kozioł wodny — znajdziesz napewne trzciny, tak gdzieś w pobliży kozła wodnego odkryjesz kozła trzcinnika. Oba pochodzą z jednego pnia rodowego, ale — tak co do budowy ciała, jak i cech charakteru, to dwa przeciwieństwa.

„Mpojo" — wielkości daniela, tylko o wysokich i cienkich nogach, smukły, z gładką, żółto-płową siercią i o krótkim, puszystym ogonku — jest nerwowcem pierwszej klasy.

Bardzo czujny i płochliwy, kryje się przemyślnie po trzcinach nadbrzeżnych, które żółkniejąc w czasie dojrzewania, stwarzają dlań tło, tak podobne do jego szaty, że go tam trudno wypatrzeć.



Kozioł trzcinowy (trzcinnik)

Do tego nie będąc tak licznym jak „Niakozwe" i żyjąc przeważnie w pojedynkę, nie tak wpada w oczy, jak jego krewniak, lubiący większe towarzystwo.

Snać się nie lubią. Nigdy nie spotkasz ich razem na jednem pastwisku. Mimo to, „Mpojo" nie gardząc trawą „mabande", zagląda często ukradkiem do żerowisk swe-

go krewniaka — oczywiście, gdy go niema gdzie w pobliżu.

Jest ostrożny, nie lubi konfliktów — nawet ze swoimi. Samotność go nie przeraża; spaceruje przeważnie samotrzeć, zwłaszcza rogacz, którego rzadko spotkać w towarzystwie kóz, nie liczącem więcej niż dwie, lub trzy sztuki.

Tylko samiec nosi rogi. Podobne są do rogów „Niakozwe" są tylko o połowę krótsze, bardziej rozwarte i nie tak wyraźnie karbowane. Za kapitalne rogi uważa się 15 lub 16 calowe, mierzone wzdłuż krzywizny.

Znamienny znak charakteryzuje tę antylopę: czarna plama wielkości talara, na nieobrośniętej siercią skórze — tuż pod uszami.

O łagodnem, bojaźliwem usposobieniu tego zwierzęcia, świadczą rogi samca. Są bardzo słabo osadzone. Nigdy też nie zaobserwowałem na ranionym rogaczu ruchów, któreby wskazywały, że chce się bronić. Całą obroną tych łagodnych antylop — to silne elastyczne nogi, w których przed wrogiem szukają ocalenia.

Jest ona może jedną z najszybszych antylop afrykańskich. Bieg spłoszonej strzałem lub pogonką sztuki można porównać z biegiem angielskiego konia wyścigowego przy „steeple chase". Potrafi ona w wyciągniętym kłusie przesadzać szerokie rowy, jak i zapory ze stłoczonych traw stepowych — nie tylko pewnie, ale i z elegancją.

Podchodzenie „Mpoja" jest bardzo uciążliwe. Lada co go przeraża i powoduje do zmiany miejsca. Nie ucieka początkowo daleko. Zwłaszcza stary, doświadczony rogacz chce się upewnić, co do rodzaju niebezpieczeństwa. Odskoczywszy raptownie na pewną metę — staje; patrzy wtedy bystrem okiem — słucha — węszy... Chociażbyś go nie dostrzegł wśród traw, zaraz się zaanonsuje. Po małej pauzie usłyszysz — bardzo doniosłe, przeciągłe gwizdnięcie.

— To on — ostrzega błądzące po trawach samki o niebezpieczeństwie, którego jeszcze nie poznał.

Gwizdnął znowu! — znowu kilka susów raptownych, podczas których rozróżniasz cichsze już pogwizdywania, dziwnie zgodne w takcie z każdym jego skokiem.

A potem cisza...

Nie gwiżdże więcej, więcby się zdawało, że się już uspokoił i przystanął. Złudzenie. Gdybyś go wówczas wypatrzył, dostrzegłbyś jak zgarbiony, z głową w dół spuszczoną, w zygzakach, krok za krokiem — zagłębia się w gąszcz traw wysokich. Gdzie przystanie — nie wiadomo. Będzie czasem długo krążyć, zanim wyszuka sobie odpowiednie — i jego zdaniem — bezpieczne miejsce.

Najłatwiej go stosunkowo podejść podczas żerowania, wczesnym rankiem. Gdy ta chwila zawiodła, a później wypłoszyłeś go wśród trawisk, to wykorzystać należy moment, gdy zaczyna lawirować i szukać bezpiecznej ostoi, idąc za nim, o ile oczywiście wiatr sprzyja; ale trzeba go już ciągle mieć na oku, i zastosować każdy swój krok, do jego poruszeń.

Na nic jednak zda się podchodzenie, gdy gwiżdże. Stoi wtedy jakby na palcach, z wyciągniętą szyją i chrapami pod wiatr skierowanemi — czujny w bezruchu. Przytem upozuje się tak wśród traw lub trzcin, że prócz głowy, rzadko kiedy ukaże właściwe miejsce dla celu, zaczajonemu wśród zarośli strzelcowi.

Także w ciągu dnia można czasem dostać go na strzał, a to wtedy, kiedy myśli już o wygodnem legowisku na czas spieki południowej, bo w poszukiwaniu za niem traci jakoby poczucie niedawno minionego niebezpieczeństwa i staje się ospałym.

I to go często gubi.

Nieraz polując w okolicy, gdzie były kozły trzcinniki, słyszałem przeciągłe ich gwizdania w ciągu nocy. Bywało, że wśród ciemnicy kręciły się bardzo blisko naszego obozowiska, a wtedy ten głos dochodził do mych uszu nadzwyczaj wyraźnie. Nie był on już tak czystym, jak słyszany z daleka, ale więcej chrapliwy — gardłowy.

Podnoszę ten szczegół z tej przyczyny, że murzyni, zwłaszcza nad dolną Zambezą kategorycznie utrzymywali, jakoby ten głos wydobywał się z pachwin nóg tylnych podczas przyspieszonych ruchów zwierzęcia. Na dowód — pokazywali mi na zabitym okazie — pofałdowane zagłębienia w pachwinach, które — ich zdaniem — przy kurczeniu i wyprężaniu nóg, działały jak rurki piszczałek. Nie mogli mi jednak wytłumaczyć, jak się to dzieje, że zwierz stoi — a gwiżdże, a przecież im ten fakt ad oculos demonstrowałem.

Zastanawiając się nieraz nad tem ciekawem zagadnieniem — przyznaję, że byłem nawet skłonny uwierzyć w istnienie takiego dodatkowego organu głosowego, jakkolwiek stwierdziłem także niezbicie, że właściwe gwizdanie odbywa się drogą gardłową. Natomiast nie uszło mej uwagi, że o ile pierwsze gwizdnięcie było zawsze silne i czyste w tonie, to następne — podczas podskoków — przygłuszone i syczące, dziwnie harmonizujące z każdem uderzeniem racic o ziemię.

Polujący współcześnie ze mną biali myśliwi — niestety było ich w tej części Afryki bardzo mało — nie wiele zdawali się zwracać uwagi na ten szczegół, chociaż im pilniejszą obserwację tego zwierzęcia zalecałem; nie było zwłaszcza takich, dla którychby badanie tego rodzaju szczegółów przedstawiało większe znaczenie.

A przecież wyjaśnienie tej zagadki nie powinno prawdziwym myśliwym być obojętne; stanowiłoby bowiem (ewentualnie) jeszcze jeden dowód, że porozumiewanie się zwierząt pomiędzy sobą — odbywa się nie tylko drogą gardłowych tonów, ale także w inny sposób, do których — poza mimiką (mrużenie oczu, krzywienie pyskiem, ruchy uszu i ogona) jako sygnalizacją wzrokową — należy: tupnięcie nogami, trzaskanie ogonem itp. działające na organ słuchu.

„Mpojo" daje znakomite mięso; jest kruche i soczyste. Mimo tych zalet gastronomicznych — murzyni rzadko nań polują. Jest to zresztą zrozumiałe; na bliski strzał z łuku podejść go trudno, a na daleki — z broni palnej — nie warto dla murzyna, bo go nie trafi. Strze-

lanie na większe odległości, to dlań sztuka wprost czarodziejska. Przynajmniej tak było za moich czasów.

Ale i myśliwi Europejczycy nie mogli się nigdy wykazać większemi sukcesami w polowaniu na tę antylopę. To jednak w niczem nie uchybia ich sławie myśliwskiej, raz, że „Mpoja" tak jak „Niazkowe" należy poszukiwać na terenach inundacyjnych, więc malarycznych, a to nie bardzo zachęca, powtóre, że jest nieliczny, a nadto kryje się znakomicie, i często — mimo najlepszych chęci — uganianie za nim staje się bezowocnem.

W górach — jak mi opowiadano — jest odmiana kozła trzcinnika; poprostu mniejsze jego wydanie. Sam, w górach wysokich nigdy „Mpoja" nie ubiłem, natomiast widziałem go tam kilkakrotnie podczas marszów, i to na przypuszczalnej wysokości 1200—1500 metrów n. p. m. Bywało to na mokrych, częściowo trzcinami porosłych połoninach. Obserwując go — co prawda, tylko przez szkła — żadnej różnicy między nim a kozłem nizinnym nie zauważyłem. Jeśli to był typ, stale góry zamieszkujący i — jak twierdzą — mniejszy, to sądzę, że mogła to być zdegenerowana rasa kozła nizinnego, tembardziej, gdy murzyni-myśliwi zwykłego „Mpoja" w nim widzieli. Ponadto jest wiadomem, że w czasie posuchy, gdy pożary zniszczą mu wszystkie jego kryjówki na równinach, nawet w odleglejsze góry się przenosi, aby z chwilą, gdy świeża trawa zakiełkuje — zejść w doliny.

Kwestja rui dotychczas niezbadana; prawdopodobnie przypada ona, jak u kozła wodnego na początek pory deszczowej (letniej), na chwilę, gdy zielonej paszy najwięcej, a kryjówek wśród wybujałych świeżo traw — pełno.

Jeśli dotychczas mało się wie o tej antylopie, to jedno pewne, że jest to typ bardzo ciekawy — a jako zwierzyna łowna — godny strzału...



JERZY POTOCKI

Łowy w Dawidgródku

Luty 1930

„...A zgoła ja tego za człowieka niemam, kto o myśliwstwie lada jako rozumie, chyba kto servilis jako kupiec albo lichwiarz albo człowiek podły, który bez żyły szlacheckiej się urodził. Nawet jeśli żaden naród nie był tak szczęśliwym, żeby kiedy wojny nań nie przychodziły, powinien się w tej zabawce kochać, która czasu pokoju ludzie wojenne w pracach do wojny należących zatrzymywa i zachowywa i zalęgać im się nieda. A taka sama jedna jest myśliwstwo, bo ma w sobie wielką pracowitość i wielką pociechę...": Tak pisał Jan Ostroróg, wojewoda poznański w roku 1618 w prefacji do króla Jegomości. I dziś chyba do tej sentencji nic dorzucićby nie potrzeba chyba, że w obecnych czasach myśliwstwo, a względnie polowanie, nie jest już uprzywilejowaną rozrywką szlachecką, lecz tak jak wszystko obecnie, zdemokratyzowało się i szersze zatoczyło kręgi. Dziś na całym obszarze Polski zwierzostan rodzimy rozwija się z ogromną szybkością, tak w prywatnych jak i w państwowych lasach, które będąc głuchemi ograbionemi po wojnie, teraz pochlubić się mogą pięknemi rezultatami dzięki racjonalnej opiece i hodowli zwierzyny. To też tym, którzy jeszcze marzą o przedwojennych czasach i z pesymizmem odnoszą się do dzisiejszych polowań, śmiało powiedzieć można, że takiemi łowami, jak obecnie w Polsce, nikt w całej Europie poszczycić się nie może i daleko trzebaby szukać poza morza, by inne kraje gatunkiem i ilością dorównać mogły naszym wspaniałym myśliwskim rozkładom. Dla potwierdzenia tego zapatrywania przytoczę tylko kilka faktów z naszej fauny krajowej. Otóż przedewszystkiem poszczycić się możemy czarnemi djamentami naszych gór — jeleniem karpackim, trofeum, które zaliczyć można do najprzedniejszych zdobyczy świata, następnie łosiem — okazem niemal przedhistorycznej fauny, a potem wspaniałemi ostępami na dziki, wilki i rysie naszych poleskich i litewskich puszcz, jak Białowieża, Rudnicka, Rzepichowska, Demiskowicka, Dawidgródecka, gdzie też wśród zwałów i uroczysk o niedźwiedzią gawrę nietrudno. Wymieniam tu wyraźnie Białowieżę i Rudnicką puszczę, bo obie będąc pod zarządami państwowemi mimo zupełnej zagłady zwierzyny podczas wojny dzisiaj otoczone opieką wykazują już wspaniały stan z wyż wymienionych gatunków zwierza. Nie mogę nie wspomnieć o ilościach ptactwa dzikiego, o tokach głuszców i cietrzewi na północno-wschodnich granicach państwa, o zadziwiających rozkładach kuropatw, bażantów i zajęcy na obszarach Kongresówki i Poznańskiego, aby nie dać obrazu tego, co faktycznie zawiera skarbnica naszych łowisk rodzimych.

Aby racjonalnie hodować i polować, trzeba być myśliwym. Na to trzeba mieć nie tylko wrodzone zamiłowanie i zrozumienie natury, ale trzeba długie lata uczyć się tej wiedzy od tych, co ją posiadają. A takich co wiedzę

myśliwską gruntownie znają, jest na świecie niewiele. O ile polowanie i z tem związane strzelanie wymaga tylko kwalifikacji sportowych, jest mniej więcej dostępne dla wszystkich, o tyle sanktuarjum wiedzy podobne jest do klanu, gdzie zaledwie kilka osób różnych pochodzeń i różnych narodowości do jednego stołu zasiada. Może nim być polski myśliwy, który w wielkich tradycjach łowieckich wychowany, własną ręką tworzył i budował meljoracje, ścieżki, drogi, hotele, bite gościńce i gawiedź turystyczna pędząca na autobusach i samochodach i z tem wszystkiem idący w parze stały i ciągły gwałt i niepokój. Z tych to powodów kończy się Afryka, skończyły się Stany Zjednocz. Ameryki i wiele innych krajów, gdzie zwierz już nie może znaleźć sobie powietrza i przestrzeni. A wtedy powstają rezerwaty umiejętnie zakładane, otoczone pieczołowitą opieką, ale po to tylko,



ROZKŁAD JEDNEGO OSTĘPU

Z lewej ku prawej (bez strzelby) Benedykt Tyszkiewicz jun., Benedykt Tyszkiewicz sen., Maurycy Zamoyski, Paweł Potocki, Arc. Karol Habsburg, Karol Radziwiłł, Zdzisław Tarnowski, Jerzy Potocki, Hieronim Radziwiłł, Roman Potocki, Gen. Nieroth, Aleksander Skrzyński.

ostoję dla przybytku kultu myśliwskiego, może nim być pułkownik angielski, który życie swe spędził w trudach podzwrotnikowej Afryki, czy też Pamirów skalistych — może nim być wreszcie schikari dżungli indyjskiej, co tygrysa osaczyć potrafi, lub chłop z Beskidu lesistego, czy też z poleskich bagien, co jelenia rykiem, a łosia wabem zniewolić umieją.

A w Polsce są tacy myśliwi dzięki prastarej tradycji naszych łowów i dzięki tym wielkim i dzikim ustroniom, do których nie dotarła przemożna cywilizacja świata. Bo zwierza zrodzonego w ciszy karpackich lub poleskich ostępów nie wyniszczy i nie utrapi ani myśliwy ani tubylczy kłusownik, ani nawet siekiera chłopa rąbiącego kwartały leśne, ale zniszczy i wypłoszy a wkońcu doszczętnie zrujnuje wszystko to, co wiąże się ściśle z postępem naszego wieku. A więc zmiana środowiska przez by zwierzyna oswajając się z cywilizacją, stopniowo degenerowała, tracąc swój pierwotny charakter. My w Polsce jesteśmy jeszcze w tem szczęśliwem położeniu, że nam do tych strachów daleko. A więc pamiętajmy o tem, wsłuchując się w ryk jelenia z Gorganów lesistych, że od podobnego obrazu dzikich i uroczych gór dzieli nas dziesiątki tysięcy mil nieubłaganego, dyszącego tętnem postępu świata, aż hen ku północnym szczytom Gór Skalistych, ku granicy Alaski — że polując na omszarach Poleskiego niżu spotkać możemy podobny świat zwierza i ptactwa aż w bajkowej krainie Kashmiru.

Do rzędu tych najpyszniejszych łowisk w Polsce należy bezsprzecznie Ordynacja Dawidgródecka, która bezmiarem obszaru i piętnem generacji myśliwych uświęcona, stała się cudnym zabytkiem tradycji w rękach obecnego jej właściciela Karola Radziwiłła. Któż nie pa-

mięta tych wspaniałych obrazów Fałata, tego mistrza w ujęciu śnieżnej bieli, czyje serce nie zabije żywiej na widok tych arcydzieł z fragmentami polowań, psów, ludzi i pysznych typów ze straży leśnej Radziwiłłowskiej i wszystko to, co Fałat stworzył przed laty, będąc gościem tej kniei dla chwały malarstwa polskiego. I wszystko to, co tak żywo z tych obrazów mamy w pamięci, w żywej jawie odtworzył i z wojennej zagłady do wiódł nadzieję co do ilości sztuk, a to ze zwyż wymienionych powodów. Dopiero drugiego dnia sławny ostęp „Czereniszcze" miał święcić nielada triumfy. Czerniszcze to forteca wszelakiego zwierza, bo olbrzymia przestrzeń gęstej wysokiej łozy na podkładzie mchu i zżółkłych traw daje zwierzynie poczucie zupełnego bezpieczeństwa i idealnej beztroski. Toteż ranny meldunek nadleśniczego o licznych stadach dziczych z potężnemi odyńcami, o ca-



Zamek w Mańkiewiczach

życia powrócił myśliwy i opiekun tej kniei Karol Radziwiłł. Bo ramy zostały nienaruszone tak, jak przed laty dziesiątek nietknięte niszczącą stopą cywilizacji. Toteż gdy co parę lat odezwie się potężny zew, zwołujący myśliwych do ostępów, serce się raduje urokiem wykwintu myśliwstwa, a oczy wchłaniają obrazy radosne, jakby zdjęte z innego już świata.

Tegoroczne łowy przypadły na pierwszą połowę lutego. Myśliwych dwunastu nie licząc gospodarza, stanęło 3-go lutego rano przed gościnnemi progami Mańkowickiego dworu skąd wprost ruszono do pierwszego ostępu w Tursko-Ladeckiem nadleśnictwie. Pogoda z początku mroźna, wnet zmieniła się w lekką odwilż, tak, że koncentracja zwierzyny mimo starannych przygotowań nie dała się w zupełności przeprowadzić z powodu stałej wędrówki dzików, które wciąż szukały suchszych miejsc dla zakładania swych barłogów. Dlatego też pierwszy ostęp „Lesosieki" mimo dwóch zabitych pięknych odyńców, zawiódł nadzieję... łej rodzinie rysi, które tutaj bezkarnie wyprawiały swoje harce, napełniło myśliwych radosnem uczuciem szczęścia i możliwością ziszczenia wieloletnich marzeń. Nagonka czyli czerta złożona z 800 ludzi a zbrojna w widły i siekiery pod rozkazami książęcej straży stanęła jak ruchomy mur dokoła ostępu, myśliwi wyciągnięci w długą linję, zajęli stanowiska wzdłuż cięciwy łączącej oba krańce czerty. Zagrały trąby, basem zagrzmiały rogi i sfory psów puszczone ze smyków wnet zaczęły niemilknący koncert swarliwego gonu. Śpiewnemi głosami zawtórowała czerta. Godziny płynęły wśród nieustających odgłosów prastarej muzyki łowieckiej, która biła jak hejnał rzeźki i pełen otuchy ku wysokiej kopule niebios. Zatrwożył się zwierz w tem bezpiecznem schronisku. Pękały łozy pod naporem stad dziczych, trzaskały strzały ekspresowe, czasem pojedyńczo, to znów w bliskich nerwowych odstępach, a gdzieś jeszcze w głębi miotu stary odyniec z wściekłością pruł zajadłych psów gromady.

I rysia ogarnęła trwoga. Próżno ostrożna samica chciała wyprowadzić swoją rodzinę z morderczego uścisku. Rzucała się tu i tam, szukając miejsca do ucieczki, aż wkrótce kulą rażona życie swe złożyła w rodzimym ostępie. I drugi ryś padł, a dwoje szczęśliwie uniknęło śmierci. Ku końcowi miał się dzień. Wyciągano zabite sztuki w tem dwa piękne odyńce, kilka wycinków oraz samur i nieco drobiazgu razem sztuk osiemnaście, oraz dwa rysie, okrasę tych puszcz Poleskich, ale też wspaniałą okrasę dzisiejszego rozkładu. Winszowano gospodarzowi — roześmiane twarze myśliwych najlepiej świadczyły o przebytych emocjach i o rozkoszy przebytych chwil. Następne dwa dni w ostępach „Chorskie“ i „żochlicz bołoto“ dały znów nieopisaną przyjemność uczestnikom polowania. Pełen uroku ranny dojazd do dalekich ostępów w małych jednokonnych saneczkach dawał możność myśliwym do rozmyślań nad łaskami, jakiemi św. Hubert obdarzyć ich może. Toteż gdy w rannym powiewie puszczy pierwsze echo przyniosło dalekich trąb granie, każdy z myśliwych zmieniał się w słuch, oczami tylko świdrując gęstwę zaporów leśnych. A było na co się patrzeć. Waliły sztuki pojedyńczo, lub w miarowych odstępach, czasem po kilka naraz, lub smolne odyńce toczyły zażarte boje ze zgrają rozjadłych kundli, póki w trzaskającej łozie i w oszalałem wyciu czerty cicha kula ekspresowa nie przerwała nici dostojnego żywota. Jeszcze piątego dnia wilki zaległy w Willemickiem nadleśnictwie otoczone fladrami kolejno jak duchy wychodziły na myśliwych. Karki potężne, rozjarzone ślepia i otwarte paszcze sprawiały wrażenie jak w czarującej baśni, a emocja widoku tak niezwykłego zwierza na tle śnieżnej puszczy uderzała w najwyższe akordy myśliwskich pożądań.

Na ogólnym rozkładzie było 61 dzików, w tem 8 odyńców i 14 wycinków, 2 rysie i 3 wilki. Na tem zamknęła się jeszcze jedna karta „szczęśliwych dni“, da Bóg nie ostatnia, a wdzięczne serca myśliwych uniosły wspomnienia pełne zachwytu dla perły Poleskich puszcz i dla jej niestrudzonego Opiekuna i Gospodarza.



MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

UTRACONE SZCZĘŚCIE

(Ciąg dalszy)

Właśnie wynosił starożytny stół, pamiętający czasy królów polskich, kiedy usłyszał krzyk Różogórskiego.

Tam, tam moje dziecko, ratujcie!!!

Lecz nikt się nie ruszył. Jakiś strach ogarnął widocznie gawiedź przypatrującą się pożarowi, czy niechęć ku wychrzczonemu żydowi wstrzymała ich od niesienia pomocy.

I wówczas skoczył Michał raz jeszcze w palące się progi pałacu. Przebiegł kilka sal, otworzył drzwi paru pokoi, naprożno szukając dziecka. Tu i ówdzie zaczęły trzeszczeć belkowania nadgryzione zębem czasu, a dokończone przez rozpętany żywioł.

Ostatek sił wydobywając ze siebie, skoczył Michał do ostatniego już z pokoi.

Przez otwarte drzwi buchnął słup gryzącego dymu, a z nim dotarł do uszu Michała słaby głos płaczącego dziecka.

Wyrwał Michał ofiarę z paszczy Molocha i szybko zaczął biec z powrotem, lecz gdy tylko dotknął stopą schodów, runęły one grzebiąc Michała wraz z dzieckiem. Nie puścił jednak Michał ofiary zapomnienia piastunki.

Powoli zaczął się wydostawać z pod gruzów, aż wreszcie dotarłszy do progu, podniósł się i goniąc już ostatniemi siłami, wybiegł przed pałac z twarzą podrapaną i ociekającą krwią, w ubraniu palącem się.

Jednym susem znalazł się przy nim Różogórski, wyrwał mu syna z rąk i ogarnięty niewysłowioną radością zaczął płakać.

Michał stał jeszcze przez chwilę wyprostowany, twarz jego rozpalona, powoli zaczęła blednąć, aż stała się biała jak papier. Przed oczyma zaczęły mu latać czarne płatki, siły poczęły go opuszczać i wreszcie ciężko osunął się na ziemię.

Ludzie widząc bohaterski czyn Michała Lubicza, ruszyli na ratunek.

Daleki głos trąbki dawał znać o zbliżaniu się straży pożarnej. W lśniących kaskach raźno skoczyli strażacy do pomp i sikawek z sobą przywiezionych. Z sykiem wy-

JANUSZ DOMANIEWSKI

Uwagi o „Słowniczku nazw zwierzyny”

W numerze drugim „Biuletynu Instytutu Łowiectwa” za rok bieżący p. J. O. pomieścił „Słowniczek nazw zwierzyny”. Jest to słownik łacińsko-polski nazw naszych zwierząt łownych. Jak z tekstu wynika, autor w najbliższym czasie ma zamiar opracować takiż słownik polsko-łaciński.

Jeden rzut oka na pracę p. J. O. uświadamia o jej wartości. Są tam rzeczy poprostu horrendalne. Trudno poprostu wyjść ze stanu zdumienia, że w poważnem czasopiśmie łowieckiem coś podobnego mogło być wydrukowane.

Nad pracą tą niepodobna jest przejść do porządku dziennego. Początkowo chciałem omówić wszystkie nazwy podane przez autora. Byłaby to jednak praca zbyt nieproduktywna, z drugiej zaś strony nie chcę krytyką zajmować zbyt wiele miejsca. Zaznaczywszy więc, że zaledwie niewielki procent nazw w słowniczku pomieszczonych użyty jest właściwie, poprzestanę na omówieniu przykładów.

Autor w przedmowie zaznacza, że nie uwzględnia nazw zwierzyny egzotycznej. Jednak nazw takich znajdujemy w słowniczku nie mniej, niż trzynaście. Są to: *Alca impennis*, *Canis aureus*, *Capra ibex*, *Elanus*, *Ovis musimon*, *Porphyrio*, *Procellaria glacialis*, *Puffinus*, *Rangifer tarandus*, *Sula*, *Thalassidroma pelagica*, *Tinamus* i *Turtur risorius*. Pomieszczenie tych nazw wykazuje niezbicie, że autor nietylko niema pojęcia o zoologji, ale również, że nie jest myśliwym, bezwarunkowo bowiem każdy myśliwy wie o tem, że w Polsce niema szakali, dzikich baranów i reniferów.

W spisie znalazł się również i *Pyrrhocorax*, którego w żadnym razie uważać za ptaka łownego nie można. Zdaniem mojem ptakami łownemi nie są też mewy i rybitwy.

Że autor nie rozróżnia krajowych gatunków ptaków łownych świadczy następujący przykład. *Anser cireneus* jest to według autora gęś dzika, *Anser ferus* — gęś popielata. Otóż obie te nazwy dotyczą jednego gatunku, mianowicie są synonimami *Anser anser*, której polska nazwa brzmi: gęś gęgawa.

Colymbus cristatus jest to według autora nur czubaty, a *Podiceps cristatus* — nurek czubaty. Autor nie wie o tem, że pierwsza nazwa jest synonimem drugiej.

Przechodzę do błędnych nazw polskich. *Actitis* jest to według autora biegus. W Polsce występuje jeden tylko gatunek tego rodzaju *Actitis hypoleucos*, którego nazwa polska według Taczanowskiego brzmi brodziec piskliwy, zaś według Sztolcmana truchtan piskliwy. W żadnym razie nazwa *Actitis* nie może być stosowana do nazwy biegus. *Aegialites* jest to według autora kulig. Błąd, bowiem nazwa ta może być stosowana tylko do siewki. *Neophron percnopterus* (w tekście błędnie *perenopterus)* według słowniczka jest to orzeł biały. Otóż *Neophron* nie jest wcale orłem, a sępem, i polska jego nazwa brzmi: sęp egipski, ścierwnik biały lub białosęp egipski. *Numenius phoeopus* jest to według p. J. O. kulik mały. Tu p. J. O. miałby rację, jednak w nawiasie pomieszcza on nazwę kulon, która to nazwa odnosi się do zupełnie innego gatunku. Sądzę, że dla wykazania tego typu błędów tych kilka przykładów wystarczy.

---

trysnęły strugi wody z prądownic skierowanych w najbardziej zagrożone ogniem miejsca.

Rzucili się ludzie z bosakami w ręku, wyciągając tlejące się belki. Każdy ratował, jak i co mógł.

Powoli przygasać zaczęły szczątki świetnego niegdyś pałacu w Rzewuszkach.

* * *

V

Kiedy ocknął się Michał z omdlenia, spostrzegł, że leży w leśniczówce na swem łóżku. Jakaś stara kobieta krzątała się koło niego, przykładała na oparzone miejsca szmaty nasiąknięte oliwą.

Gdzie dziedzic? — zapytał po chwili.

Dziedzic wraz z synem zamieszkali w oficynie pałacowej — rzekła stara, ale że pan też mógł tak narażać swe życie dla tego przeklętego żyda?!

Ano, trudno. Kiedy widzi się niemoc i rozpacz człowieka, nie patrzy sie na siebie.

Ale pan mógł życie postradać!

No i cóż z tego. Może i lepiejby było, gdybym zginął tam, w płomieniach ognia...

Nie zrozumiała owa nieznajoma kobieta tych słów, ale wyczuła instynktownie smutek i żal rosnący w sercu Michała.

Osłabiony leżał na łóżku. Twarz i ręce oparzone piekły niemiłosiernie. Włosy rozwichrzone i częściowo spalone wiły się zlepionemi kosmykami.

Pić... — szepnął Michał, który poczuł, że siły znowu zaczynają go opuszczać.

A kiedy stara wyszła by przynieść szklankę wody choremu, zaturkotały koła pojazdu przed leśniczówką i wnet zatrzymały się konie przed gankiem.

W drzwiach stanął Różogórski.

Zawsze pewny siebie, dziś stał pochylony, z głową zwieszoną w dół. Oczy patrzyły ponuro przed siebie.

W milczeniu podszedł do łóżka Michała i niemym wyrazem oczu dziękował mu za okazany wczoraj ratunek.

To, co pan dla mnie uczynił, zobowiązało mnie do wdzięczności tak wielkiej, iż nie jestem w stanie tego wypowiedzieć. Pan, mimo wielu przykrości odemnie doznanych, nie wahał się, mimo grożącego mu niebezpieczeństwa utraty życia, rzucić się w płomienie, by wyratować jedyne moje dziecko.

Tam gdzie autor podaje nazwy bez błędu, ma się wrażenie, że sili się on jakby specjalnie na wynajdywanie nazw polskich najmniej używanych. Dla przykładu podam kilka nazw ze słowniczka a obok nich nazwy, które powinny być użyte.

Aquila chrysaetus — (orzeł) birkut, winno być — orzeł zys.

Ardea egretta — czapla duża; winno być — czapla biała, albo forga biała.

Bernicla torquata — gęś północna; winno być — gęś bernikla, albo bernikla obrożna.

Fuligula ferina — kaczka ponur; winno być — podgorzałka głowienka.

Fuligula marila — kaczka górna; winno być — czernica, ogorzałka.

Na wytknięciu tych błędów poprzestanę. Sądzę, że to wystarczy. Dodam tylko, że bardzo mało jest takich nazw, którymby czegoś nie można było zarzucić.

W rezultacie słowniczek nic nie jest wart. Ostrzegam przed nim myśliwych, albowiem korzystający z niego będą wprowadzeni w błąd.

Dlaczego jednak autor, mając bezwzględnie dobre chęci, popełnił tak dużo błędów? Naturalnie przez to, że brak mu było odpowiedniego przygotowania do podjęcia takiej pracy, oraz dlatego, że nie umiał wykorzystać źródeł. Trzeba było się posługiwać przedewszystkiem pracą Taczanowskiego (Ptaki Krajowe, Kraków 1882), Sztolcmana (Próba uporządkowania nomenklatury ptaków krajowych. *Pamiętnik fizjograficzny*, T. XXV, Warszawa 1918), wreszcie wydanym pod redakcją prof. Hoyera „Kluczem do oznaczania zwierząt kręgowych ziem polskich" (Kraków 1910). Gdyby p. J. O. poprostu przepisał nazwy polskie i łacińskie z prac wyżej wymienionych, byłby przynajmniej uniknął błędów.

Trzeba jednak zaznaczyć, że sam pomysł jest bardzo dobry. Ze wszech miar wskazanem jest, by „Słownik nazw polskich zwierząt łownych" był w najbliższym czasie opracowany i wydany. Wydać go powinien Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich. Musi jednak ów słownik obejmować wszystkie synonimy łacińskie i polskie, tak, by można było w nim odszukać każdą nazwę i dojść, co ona właściwie oznacza.

Przez opracowanie takiego słownika ustali się też spis naszych zwierząt łownych, co dawno już powinno było być zrobione.



Wiem, jak głęboko ukochał pan tę puszczę, i choć w części chcąc mu się wywdzięczyć, pragnę, by zechciał pan przyjąć odemnie część tych lasów, któremi pan zarządza.

Nie spodziewał się Michał znaleść takiej wspaniałomyślności w człowieku, którego najwyższym ideałem był pieniądz. Zrozumiał, iż człowiek, który rozstaje się dobrowolnie z tem, co najbardziej ukochał, robi to z najgłębszego uczucia duszy, że nie jest to tylko poczuciem spełnionego obowiązku człowieka wywdzięczającego się.

Przez chwilę patrzył w oczy Różogórskiego i wreszcie rzekł:

Ja tej darowizny przyjąć nie mogę, lecz skorzystam z sytuacji i poproszę pana o inną rzecz, rzecz daleko większego dla mnie znaczenia, niż posiadanie kilku, względnie kilkunastu hektarów lasu.

Sam pan przed chwilą powiedział, iż wie, jak bardzo ukochałem knieję i jak gorąco pragnę ochronić ją przed postępem cywilizacji. Chcę tu prosić pana, by pan obiecał mi, iż nigdy już za swego życia nie będzie wycinał puszczy. Oczywiście prócz poręb wyznaczonych przez racjonalną gospodarkę leśną.

Bez chwili namysłu podał mu Różogórski rękę i z pewnem rozrzewnieniem rzekł:

Daję na to panu słowo honoru!!!

Ale wie pan, panie Michale, że ja nigdy nie myślałem, iż można tak bardzo kochać przyrodę. Zawsze myślałem, że pan kocha te bory tylko dlatego, iż były one kiedyś pańską własnością. Ze zdumieniem widzę, że tak nie jest. Chciałbym, aby pan zechciał we mnie wpoić to piękno natury. Być może, że go nie pojmę, ale widząc tak wielką miłość, jak u pana, sądzę, że jest ono dostępne dla wszystkich.

Rumieńcem zadowolenia oblała się twarz Michała, gdy usłyszał te słowa. Będzie mógł teraz być spokojniejszy o byt puszczy, będzie się starał wpoić w Różogórskiego to ukochanie natury.

(C. d. n.)



GEN. WALERY MARYAŃSKI

Amunicja krajowa

Gdy mniej więcej przed trzema laty ujrzeliśmy na Targach Wschodnich we Lwowie pierwsze okazy amunicji śrutowej, wyrobionej przez „Pocisk" w kraju — widzieliśmy w tem urzeczywistnienie życzeń całego polskiego świata myśliwskiego i strzeleckiego.

Jedynie proch był zagraniczny — t. j. niezrównany „Rottweil" — a to dlatego, ponieważ w kraju fabrykacja prochu bezdymnego jeszcze nie istnieje, względnie z okresu prób jeszcze nie wyszła.

Te naboje „Pocisku" — a w szczególności łuski, po zastosowaniu spłonek, nie wywołujących rdzewienia luf i po przeprowadzeniu jeszcze kilku drobnych ulepszeń, okazały się bardzo dobre i mogą obecnie skutecznie konkurować z najlepszemi wyrobami najlepszej marki.

Jedynie co do spłonki pozwolę sobie wyrazić życzenie, że — aczkolwiek ona nie wywołuje rdzewienia lufy i jest na ogół zupełnie odpowiednia — to jednak byłoby, choćby ze względu na nasz klimat, bardzo pożądanem, by ona była cokolwiek silniejsza. Polujemy często przy temperaturze —20° C, a wówczas każdy dobry bezdymny proch wymaga silniejszego zapału.

Równocześnie zaczął „Pocisk" wyrabiać amunicję do małokalibrowej broni tz. kalibru 22 i to w trzech rodzajach a to: krótkie (short), długie (long) i precyzyjne (long rifle). Próby porównawcze, przeprowadzone przez różne do tego powołane czynniki, wypadły również zupełnie zadowalająco. Osobiście przeprowadziłem próby, porównując przy jednakowych warunkach polską małokalibrową amunicję wyrobu „Pocisk" z niemiecką znanej chlubnie marki Uttendorfer i oryginalną amerykańską Winchester; stwierdziłem, że polskie fabrykaty w niczem nie ustępują zagranicznym. Na więcej ponad 1000 strzałów nie zdarzył mi się ani jeden niewypał; ugrupowanie kul w tarczy wykazywało równomierność przy rozrzucie nie większym od najlepszych naboi zagranicznych.

Również nie zauważyłem żadnego rdzewienia lufy, wytarłszy ją suchym wyciorem. Są więc absolutnie „rostfrei".

Zachęcona zapewne powodzeniem „Pocisku", (który nawet za granicą między matadorami śrutowymi światowej sławy ma zdecydowanych zwolenników) — założyła „Warszawska Spółka Myśliwska" fabrykę amunicji śrutowej w Warszawie na Targówku, gdzie również z wyjątkiem prochu, z Niemiec sprowadzanego cały nabój wyrabia się w kraju.

Naboje te, bardzo precyzyjnie wykonane, odznaczają się przedewszystkiem doskonałą spłonką — może nawet lepszą od spłonek, przez „Pocisk" obecnie używanych i przedstawiają się na zewnątrz bardzo korzystnie. Co się jednak wewnętrznej konstrukcji samej łuski tyczy, to nie są one tak solidnie, jak „Pocisku" wykonane; brak im mianowicie stalowej prasowanej wkładki w komorze prochowej, która jej ściany boczne zupełnie hermetycznie zamyka i zupełnie zapobiega uchodzeniu gazów na zewnątrz.

Chcąc być zupełnie bezstronnym, trzeba na ich korzyść podnieść bardzo dobrą, natłuszczoną a mimo to nie za ciężką wojłokową przybitkę na proch, której dobroć, jak wiadomo, tak decydujący wpływ na krycie śrutami tarczy wywiera.

Streszczając wady i zalety — można je uważać za równowartościowe z dobremi zagranicznemi łuskami — są jednak niższej klasy niż „Pociski".

Na ogół można naboje z fabryki „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej" uważać za przeciętnie dobre i równowartościowe z dobremi zagranicznemi fabrykatami — ale w tem wydaniu, w jakiem ja je nabyłem i próby przeprowadziłem, nabrałem przekonania, że do „Pocisków" im jeszcze daleko.

Witamy jednak z radością tę nową wytwórnię, upatrując w zdrowej konkurencji z „Pociskiem" gwarancję, że i ta gałąź przemysłu krajowego u nas, stanąwszy na silnych podstawach — tak się rozwinie, że wyprze zupełnie wyroby zagraniczne.

Jeden z głównych artykułów przy wyrobie amunicji, mający decydujący wpływ na jej dobroć — jest niewątpliwie proch; od niego zależy niemal wszystko. W Polsce jest wyrób prochu i materjałów wybuchowych, tak jak we wielu innych państwach, monopolem rządowym.

Fabrykacją prochu zajmuje się Państwowa Wytwórnia Prochu w Zagożdżeniu i to od lat kilku — dotąd jednak wyprodukowała ona tylko d y m n y proch myśliwski — nawiasem mówiąc b a r d z o d o b r y, nieustępujący w niczem gatunkom dymnego prochu, wyrabianym na kontynencie przed wojną światową.

W ostatnich czasach wyszły ponoś próby z fabrykacją prochu b e z d y m n e g o ze stadjum eksperymentów — a nawet niektóre większe firmy miały otrzymać próbki tego prochu; o ile mi wiadomo jednak, to dotąd amunicji myśliwskiej, tym prochem nabitej, w handlu jeszcze nie ma.

Niesłusznem byłoby jednak zarzucać Państw. Wytwórni Prochu opieszałość w tym kierunku, albowiem fabrykacja prochu b e z d y m n e g o jest na ogół rzeczą bardzo trudną; jedna z głównych trudności leży w tem, by sfabrykować proch „chemicznie stały" t. j. taki, który nawet lata przechowywany nie zmienia się chemicznie i nie eksploduje sam ze siebie.

Jako odstraszający przykład przytoczę katastrofę, która na kilka lat przed wojną światową miała miejsce w Tulon, gdzie nagle bez żadnego powodu pancernik francuski „Canrobert" wyleciał w powietrze, a wkrótce potem jakiś drugi okręt wojenny francuski, którego nazwy już nie pamiętam. Dochodzenia wykazały, że przyczyną eksplozji był nowo wprowadzony bezdymny proch armatni, który przy próbach okazał się znakomitym — ale deponowany dłuższy czas w magazynie, zaczął zmie-

niać swoje własności chemiczne i w końcu uległ samozapaleniu.

Aby „chemiczną stałość" prochu bezdymnego ustalić, na to trzeba oprócz rutyny i gruntownych wiadomości z dziedziny chemji i pirotechniki — także czasu.

Jeśli tedy mamy wyrabiać własny bezdymny proch, to lepiej, że próby z nim jeszcze rok i dwa się przeciągną, niż sfabrykować jakiś proch, który w przyszłości zawiedzie nadzieje w nim pokładane.

Fabrykacją śrutu zajmują się — o ile mi wiadomo — dwie fabryki a to „Gische" w Katowicach i Rudolfa Nerlicha w Bielsku (założona w r. 1875 i znana długie lata przed wojną światową, ze swego doskonałego śrutu i przybitek).

Obie wyrabiają dobry twardy śrut, dokładnie kalibrowany, nie zaołowiający zbytnio luf — konkurujący z powodzeniem z zagranicznym importem (np. Genschow et Co i inne).

Co się kulowej amunicji tyczy — to dotąd nie wyrabia się w kraju ani kulowej amunicji myśliwskiej ani amunicji do pistoletów względnie rewolwerów. Wyrób amunicji wojskowej (karabinowej) — nawiasem, jak to jeszcze na Olimpjadzie w r. 1924 stwierdziłem — doskonałej, pomijam milczeniem, jako dla myśliwych bez znaczenia.

To byłoby wszystko, co dotąd w kraju w tej gałęzi przemysłu się wyrabia.

Stwierdzić trzeba przy największej bezstronności, że aczkolwiek produkcja amunicji krajowej tylko w tych kilku nielicznych kierunkach się rozwinęła, to jednak pod względem jakości odpowiada najzupełniej choćby bardzo wysokim wymaganiom.

Ma ona jednak wielką wadę, na którą bez wyjątku wszyscy, tak pośredniczący w sprzedaży kupcy, jak i nabywcy myśliwi i strzelcy się skarżą, a to jest horendalnie wysoką cenę.

Ogół naszych myśliwych i strzelców, dla których najbliższa zagranica ze swoim rynkiem kupieckim dzięki rozmaitym zakazom, ograniczeniom, trudnościom cłowym, pozwoleniom, zezwoleniom, podaniom, stemplom i t. p. elukubracjom z czasów smutnej pamięci Grabszczyzny — jest chińskim murem odgraniczoną, nie przeczuwa nawet po jakich cenach za granicą amunicję się kupuje.

Chcąc P. T. Czytelnika zaznajomić trochę z tą materją, pozwolę sobie przytoczyć kilka dat zasięgniętych z najnowszych cenników bardzo poważnych firm zagranicznych.

Będę cytował ceny detaliczne tj. takie, po których każdy pojedyńczy osobnik je nabywa; chcąc zaś, aby Sz. Cz. nie zgubił się w powodzi cyfr cen, ograniczę się tylko do amunicji śrutowej i to w kalibrze 16 i do amunicji małokalibrowej (kal. 22).

I tak:

Niemcy.

Firma Westfalisch-Anhalt. A. G., Berlin: 100 sztuk nabitych patronów bezdymnych kal. 16 marka „Wasag" 13,50 Rm = 29,70 zł.

Firma Köln-Rottweil-Sprengstoff A. G., Karlsruhe: 100 sztuk nabitych patronów bezdymnych kal. 16 marka „Weidmansheil" = 13,50 Rm = 29,70 zł.

Firma Genschow et Co, Berlin: 100 sztuk nabitych patronów bezdymnych, kal. 16 = 13,40 Rm = 29,48 zł.

Firma G. Teschner et Co, Wilh. Collath Söhne — Frankfurt a/O: 100 sztuk nabitych patronów bezdymnych, kal. 16 = 13,50 Rm = 29,70 zł.

Firma Lösche — Magdeburg: 100 sztuk nabitych, bezdymnych patronów, kal. 16, najlepszej sorty: 13,70 Rm = 30,14 zł.

Firma Hermann Noldenmayer — Bernburg: 100 sztuk nabitych bezdymnych patronów, kal. 16, marka „Greiff" (najlepsza sorta) = 10,50 Rm = 23,10 zł.

Firma Fritz Ottow, Neudamm: 100 sztuk nabitych patronów bezdymnych, kal. 16 = 10 Rm = 22 zł.

Firma G. Reichmut — Erfurt: 100 sztuk nabitych patronów bezdymnych, kal. 16 = 10 Rm = 22 zł.

Firma Waffenfrankonia — Würzburg: 100 sztuk nabitych patronów bezdymnych, kal. 16 = 8,50 Rm = 18,70 zł. — 100 sztuk nabitych patronów dymnych, kal. 16 = 7,5 Rm = 16,50 zł.

Francja.

Charakterystyczne dla cen amunicji myśliwskiej we Francji jest niezwykle wysoka cena prochu, który jest monopolem. I tak, gdy 1 km prochu dymnego u nas w Polsce kosztuje 11 zł., to we Francji 100 fr. czyli 34 zł.; gdy w Niemczech 1 kg bezdymnego prochu kosztuje 10 Rm czyli 22 zł., to we Francji 215 fr. = 73 zł.

Temu przypisać należy, że o ile łuski i przybitki we Francji są bardzo tanie — to gotowe naboje śrutowe nieproporcjonalnie drogie.

I tak:

Firma Verney et Carron — St. Etienne (jedna z najdroższych lecz najlepszych firm): 100 sztuk łusek do dymnego prochu: 20 fr. = 6,8 zł. — 100 sztuk łusek do bezdymnego prochu z 14 mm wysoką stopką: 36 fr. = 12,95 zł. Ceny gotowych nabojów nie są mi znane.

Firma Cartoucherie Francaise — Paris: 100 sztuk łusek do bezdymnego prochu: 20 fr. = 6,8 zł. — 100 sztuk łusek do bezdymnego prochu: 22,5 fr. = 7,65 zł. Ceny gotowych nabojów nie są mi znane.

Amunicja małokalibrowa (kal. 22):
krótkie (short) 100 sztuk = 13,50 fr. = 4,58 zł.
długie (long) 100 sztuk = 16 fr. = 5,44 zł.
precyzyjne (long rifle) 100 sztuk 17 fr. = 5,78 zł.

Belgja:

Bachman — Liege: 100 sztuk nabitych patronów z bezdymn. prochem, kal. 16, marka „Optima" z 15 mm wysoką stopką = 34,10 zł.

Austrja.

Firma Patronenfabrik in Hirtenberg vormals G. Roth A. G.:

100 sztuk łusek do bezdymnego prochu, kal. 16 = 5,7 szyl. = 7,12 zł.

100 sztuk łusek do bezdymnego prochu kal. 16, marka „Kleeblatt" (10 mm mosiężna stopka, wewnątrz metalowa wkładka, kapsla Gevelot) = 8,2 szyl. = 10,25 zł.

100 sztuk gotowych nabojów (dymny proch), kal. 16, 20 szyl. = 25 zł.

100 sztuk gotowych nabojów (bezdymny proch) marka „Kleeblatt" = 27 szyl. = 33,75 zł.

100 sztuk gotowych nabojów (bezdymny proch) marka „Erle" = 23 szyl. = 28,75 zł.

Małokalibrowa amunicja (kal. 22):

100 sztuk krótkich (short) = 3,25 szyl. = 4,— zł.
„ „ długich (long) = 3,85 szyl. = 4,80 zł.
„ „ precyz. (long refle) = 4,20 szyl. = 5,25 zł.

Firma Johann Sigott, Celowiec, Karyntia: 100 sztuk gotowych nabojów (bezdymny proch, kapsla Gwolet), kal. 16 = 22 szyl. = 28 zł.

Polska.

Zakłady Amunicyjne „Pocisk" S. A. w Warszawie:

100 sztuk łusek do bezdymnego prochu, kapsla Gewelot, 15 mm wysoka stopka mosiężna, metalowa wkładka w komorze prochowej: 20 zł.

100 sztuk gotowych nabojów, łuski jak wyżej, kal. 16 44 zł.

Małokalibrowa amunicja (kal. 22):

100 sztuk krótkich (short) = 5,50 zł.
„ „ długich (long) = 6,60 „
„ „ precyzyjnych (long rifle) = 7,70 „

Warszawska Spółka Myśliwska:

100 sztuk łusek do prochu dymnego, kapsla płaska, kal. 16 = 14 zł.

100 sztuk łusek do prochu bezdymnego, kapsla Gevelot, stopka mosiężna 10 mm = 20 zł.

100 sztuk gotowych nabojów (proch dymny, kapsla płaska) kal. 16 = 40 zł.

100 sztuk gotowych nabojów (proch bezdymny, kapsla Gevelot) kal. 16 = 44 zł.

Innej amunicji Warsz. Spółka Myśl. nie wyrabia.

(C. d. n.)



Mozajka Dzicza

HIERONIM TARNOWSKI

Zepsuty dublet

(Towarzyszce stanowiska poświęcam)

Korzystając z przyjemnością z restytucji na łamach „Łowca" zajmującej tej szpalty i pragnąc pobudzić Kolegów-Myśliwych, by dzielili się z nami tą niewyczerpaną skarbnicą wrażeń, jaką są łowy na grubego zwierza, sięgam do lamusa wspomnień z czasów, gdy zwierza w lesie było tyle, ile dziś jest trosk na głowie — a trosk na głowie było tyle, ile zwierza w lesie w pierwszych latach po wojnie światowej.

Rok 1911. Rewir Krządka, leżący w sercu dawnej Sandomierskiej Puszczy, wspaniałych wówczas pełen ostępów — dziś spalony doszczętnie. Cudny, w miarę mroźny słoneczny dzień grudniowy o roziskrzonym śniegu i kryształowem powietrzu. Polowanie na dziki, strzał do łownego jelenia dozwolony.

Przed południem nie doszedłem do strzału. Śniadanie przywiozły nam trzy młodziutkie córki Gospodarza, z których najmłodsza, siedmioletnia, miała stanąć ze mną, jako najmłodszym z myśliwych, na stanowisku w najbliższym miocie.

W miocie tym otropiony był odyniec. Stałem przed około dwudziestoletnią drągowiną, powstałą ze sztucznej kultury, więc wyraźnemi rządkami ciągnącą się w głąb. Na lewo odemnie wąska luka przecina wskos rządki sosen, dając możność wygodnego strzału w miot. Odgarnąwszy śnieg z dna rowu, dzielącego miot od linji, stawiam w nim moją partnerkę-pupilkę, przykazując jej, by cobądź się będzie działo, nic nie mówiła i nie ruszała się.

Po chwili leśną ciszę zimowego dnia rozdarł dźwięk starej Dzikowskiej pobudki myśliwskiej, budząc w sercu dreszcz wspomnień, nadziei i oczekiwania. A potem zaległa owa „cichość głucha", w której „jak najciekawszej mowy każdy słucha milczenia", kiedy „psy nurkują po lesie, jak pod morzem nurki". Wreszcie głębokim, miarowo przerywanym basem ozwał się przesławny dzielny Rex, dając głos z miejsca. Potem zławianie się reszty psów, chwila walki, skowyt ściętego psa — i najmilsza dla myśliwskiego ucha muzyka gonu.

Gon szedł najwyraźniej w zdecydowanym kierunku bez przerw. Zbliżał się wprost ku mnie, coraz bliżej, bliżej — wreszcie ujrzałem. O pięć czy sześć zaledwie rządków na lewo odemnie sadził ku linji potężny odyniec, najeżony, zaśnieżony, wspaniały. Za nim psy. Moja towarzyszka siedzi cichutko, jak trusia. Już blisko. Już nie dalej jak 40 kroków od linji. Gotów do strzału czekam, rychło zaczernieje w luce. Jeszcze kilka skoków, jeszcze parę... w tem „Wujciu, to dzik", rozległ się zemocjonowany głosik dziecięcy. Piekło... Odyniec zwinął na miejscu i w szalonych susach poszedł w lewo wtył ku nagan-

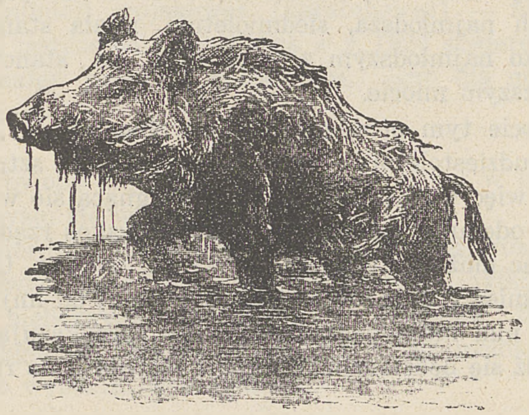
ce — w łatwym do zrozumienia stanie puściłem za nim desperacką, chybną kulę.

W tej samej chwili usłyszałem na prawo od siebie trzask łomu, odwróciłem się, przepysznym skokiem przesadzał linję jeleń. Strzeliłem z przyrzutu — i ze skoku runął martwy na drugą stronę linji dobry dziesiątak.

Tak minął mnie najpiękniejszy dublet, do jakiego miałem okazję w dotychczasowej mojej karjerze myśliwskiej.

Biedna winowajczyni była strasznie skruszona i zawstydzona i przepraszała mnie, jak mogła. Do mnie zaś po pierwszej chwili gniewu i żalu przemówiła (zapewne dzięki zabiciu jelenia) cała dziecinno-zabawna strona zajścia. Stanął też zaraz między nami pakt, że o jej winie „nic nie powiemy Tatusiowi", który stał na „rück-wekslu", więc nie słyszał owego wykrzyknika, co spowodował „wstecz wzrot" odyńca i moje pudło. Paktu tego dotrzymałem wiernie przez całe lata, aż póki przestępczyni nie mogła już grozić bura pro praeterito.

Ale dodać muszę, że moja ówczesna towarzyszka stanowiska, dziś, choć sama nie strzela, to przecie tak kocha i tak rozumie wysokie łowy, tak odczuwa cały urok myśliwstwa, jak — doprawdy — nie każdy myśliwy.



Korespondencje

Gródek Jagielloński w marcu 1930

Sprawozdanie łowieckie

Jeżeli Szanowny Czytelnik lub Szan. Wydział M. T. Ł. mniema, że pełnienie obowiązków delegata powiatowego — a o powiecie gródeckim tu mówię — jest rzeczą miłą i wdzięczną, to się nie mało myli.

Chcąc się choć w drobnej części z powierzonych czynności wywiązać, to spotyka się tyle przeszkód i niechęci ze strony myśliwych, że rezultat jest prawie żaden a niechętnych i wrogów moc. Wytknąć jakieś uchybienie w etyce myśliwskiej lub błąd w gospodarce łowieckiej, to się boczą lub przestają zgoła znać. Zaprojektować jakąś wstrzemięźliwość na pewien krótki czas w odstrzale zwierzyny, to psy poprostu wieszają i jako wroga swobody i przywilejów myśliwskich deklarują a nawet o odebranie mandatu delegata do Wydziału supliki zanoszą.

Odmówić pozwolenia na odstrzał kóz lub kozłów — to już grzech nie do przebaczenia i skazanie na wieczne potępienie. Nawet raz w rok o nadesłanie krótkiego sprawozdania z ilości ubitej zwierzyny doprosić się trudno, jakkolwiek to nie delegatowi osobiście, ale do statystyki ministerstwa jest potrzebne. Co zatem taka chromająca, połowiczna statystyka warta będzie, łatwo sobie wyobrazić — a że innej przedłożyć nie mogę, nie moja w tem wina, lecz tych, którzy z nadesłaniem sprawozdań się ociągają.

W minionym sezonie upolowano według nadesłanych sprawozdań:

W Domażyrze (wł. p. Wł. Breitera) gremjalnie nie polowano — ubito na podchodnego 11 zajęcy, 1 lisa, 1 kozła kastrata, który zdziczał i napadał ludzi.

W Bratkowicach (wł. dra Kolischera) polowano dwukrotnie w polach przy bardzo nieodpowiedniej aurze w kilka strzelb i ubito 15 zajęcy.

W Gródku Jagiellońskim polowało dwukrotnie tamtejsze Kółko myśliwskie i ubiło w 12 strzelb 8 lisów i 1 dzika.

W Haliczanowie ubił dzierżawca terenów gminnych (na podchodnego niestety) 8 zajęcy.

W Janowie (wł. W. hr. Gołuchowski) na trzech małych polowaniach w mniej zasobnych rewirach ubito w 10—12 strzelb 71 zajęcy, 7 lisów, 1 kozła (chorego). — Na stawach i błotach ubito 80 kaczek, 85 krzyków, tudzież ubito 12 słonek. — Ze szkodników: 47 psów, 18 kotów, 129 sztuk ptactwa drapieżnego za co tytułem strzałowego wypłacono straży 316 zł.

W Kiernicy, dzierżawionej przez Kółko myśliwskie w Gródku na dwu polowaniach w rewirach polnych w 10 do 12 strzelb ubito ledwo 16 zajęcy z powodu plagi kłusownictwa.

W Lubieniu (wł. Br. Adolf Brunicki) ubito w kniei: zajęcy 19, lisów 8, dzików 5, słonek 2, dzikich gołębi i paszkotów 30. Ze szkodników: 2 żbiki, 1 wydrę, 4 borsuki, 51 sztuk ptactwa drapieżnego. Straży wypłacono za to 100 zł.

W Mełkiniu ad Lublin (wł. p. A. Bisanza) padło zajęcy 16, lisów 2, dzików 2, słonek 5.

W Rodatyczach (wł. Zgromadzenie Św. Opatrzności) na jednem większem i kilku mniejszych polowaniach padło: 50 zajęcy, 8 lisów. Straż ubiła psów 7, kotów 23, jastrzębi 6.

W Rzeczyczanach (dzierżawca p. Kowalczuk), ubito 12 zajęcy, 1 lisa.

W Stawczanach w polach i laskach gminnych ubił dzierżawca włościanin 21 zajęcy, 13 kaczek.

W Wiszence małej i wielkiej (wł. pp. Stankowa), w czterech dniach w kilkanaście strzelb, podniesiono 91 zajęcy i 5 lisów. W roku bieżącym z dzikami się nie spotkano.

W Wołczuchach (dzierż. p. Szybalski) w polach i laskach w kilka strzelb ubito ledwo 15 zajęcy, o wiele mniej jak dawniej.

W Wrocowie (wł. p. R. Dicka), na jednem polowaniu w kniei 4/I. ubito w 10 strzelb 72 zajęcy. W polach „na luzaka" ubili goście 20 zajęcy.

W innych 17-tu małych obszarach łowieckich, będących w dzierżawie, przypuszczalnie mogło paść około 60 do 80 zajęcy.

W Jarymowie, Łozinie, Malczycach, Dobrostanach i Uhercach niezabitowskich, ubiegłego sezonu nie polowano.

Z dóbr Arcybiskupstwa, miasta Lwowa, Lelechówki, Putiatycz, żornisk, Zielowa, Jaśnisk, Jamelny, Karaczynowa, Leśniowic, Suchowoli, Zuszyc, Stronnej, Neuhofu, Zatoki, Dąbrowicy, Zawidowic i t. p. — sprawozdanie nie nadesłano.

Powszechną skargą myśliwych jest rozwinięte na szeroką skalę wnykarstwo a w ostatnich latach i kłusownictwo nawet w tych gminach, w których są posterunki policji państwowej — a dalej żadną ustawą okiełzać się nie dające szkody wyrządzone przez psy towarzyszące rolnikom i pastuchom w polach.

Łagodna zima tegoroczna i skrócony czas polowań, pozwalają wróżyć na pomyślny stan zwierzyny w przyszłym sezonie. (Młode zające widziano już w lutym). — Kuropatwy wyginęły niemal zupełnie. Zgłoszono istnienie tylko dwu stadek.

Dr. H. Malsburg
delegat

Łukawica p. Stryj w marcu 1930

Wykaz ubitych drapieżników na terenach Małopolskiej Hodowli Zwierzyny

Wilków 1, lisów 10, kun 1, łasic 20, psów 126, kotów 198, jastrzębi gołębiarzy 11, jastrzębi innych 106, wron 381, srok 180, puhaczy 2, sów uralskich 9, kruków 3, czapli 30, sojek 148. Razem sztuk 1226.

Zarząd Małopolskiej Hodowli Zwierzyny
w Łukawicy p. Stryj

Rożyska 6 marca 1930

W dniach 23, 24 i 25 stycznia odbyło się w lasach ordynacji Chorostkowskiej u Stanisława hr. Siemińskiego-Lewickiego polowanie na dziki. Polowano w 8 strzelb. Na rozkładzie znalazło się, pomimo trzech nieudałych spotkań, 6 dzików w czem 4 odyńce. Polowanie prowadzone było wzorowo, raporty zgadzały się punktualnie nietylko co do miejsca, ale i co do ilości sztuk, co możliwem jest jedynie przy znakomicie z dawien dawna wyćwiczonym personelu. Dzięki intensywnemu karmieniu i pieczy, stan tej grubej zwierzyny stale się zwiększa.

Kazimierz Grocholski



Opieka prawna łowiectwa — a powiatowa jurisdykcja

Nie są dla nas hodowców i miłośników zwierzyny nowością liczne skargi pod adresem naszych sądów na temat niskiego wymiaru kar na kłusowników lub uwalnianie ich dla „braku dowodów", choć popełnienie karygodnego czynu przez daną jednostkę dla każdego zdrowo i objektywnie myślącego człowieka nie ulega żadnej wątpliwości.

Przyczyna tego zdaje się leżeć u większej ilości naszych sędziów (o ile sami nie są myśliwymi) w przestarzałem zapatrywaniu, że myślistwo i połączona z tem hodowla zwierzyny — to „sport", to „pańska zabawka" a nie gałąź gospodarstwa krajowego — i że wnykarstwo to nie zwykła kradzież, lecz rodzaj wybryku młodzieńczego, nie zasługującego na surowe ukaranie.

Charakterystyczny kwiatek tak pojętej jurysdykcji, pozwolę sobie przytoczyć.

Oto we wsi Perepelniki powiatu zborowskiego, w której wnykarstwo i kłusownictwo do r. 1928 było rzeczą prawie nieznaną, względnie sporadycznie się trafiało — zaczął w zimie 1928/29 r. niejaki Wasyl Wysocki uprawiać wnykarstwo na wielką skalę.

Dzięki istotnie uznania godnej energji posterunkowego P. P. w Nuszczu, p. Józefa Pojnara, schwytano wnykarza, przy rewizji znaleziono sidła i skórki zajęcze; oddano sprawę do sądu w Zborowie, gdzie otrzymał Wasyl Wysocki 14 dni aresztu — niestety z zawieszeniem.

Śmiejąc się w kułak — jak każdy chłop na wsi — z tego wymiaru „kary z zawieszeniem" i rozzuchwalony tem, szydząc głośno z policji i właściciela polowania („to szczo meni za toje zrobyły") — rozpoczął Wysocki Wasyl w zimie 1929/1930 polowanie już na większą skalę a mianowicie z Manlicherem — wyjmując kulę, zatykając proch w łusce papierem i sypiąc na to siekańce do połowy lufy. Przeistoczywszy w ten sposób karabin na „piżonierkę", kłusował tak długo, polując głównie na sarny po zrębach, aż znowu wpadł w ręce dzielnego pana Pojnara. Sprawa znowu powędrowała do pałacu Temidy w Zborowie, a „karabin-piżonierka" do starostwa.

Starostwo znalazło się w kropce, bo zaaplikowało za bezprawne noszenie broni Wasylowi 7 dni kary i skonfiskowało „piżonierkę" — sąd powiatowy zaś (sędzia Mazurkiewicz) uznał, że trzy dni aresztu za kłusownictwo będzie dosyć.

Zapewne sądzi Sz. Cz., że Wasyl, jako recydywista, odsiedział i owe 14 dni „zawieszone" mu zeszłego roku! ? Myli się — bo mimo rekryminacji Policji Państw., zostało przy tych trzech dniach; Wasyl je odsiedział i znowu naśmiewa się z policji i z całego wymiaru sprawiedliwości w sądzie Zborowskim — myśląc, skądby tu znowu w jakiś karabin się uzbroić i dalej polować.

Czy tego rodzaju postępowanie sądu nie obniża powagi Państwa i tak już przez „mniejszości narodowe" często lekceważonej ?

Jak demoralizująco działają tego rodzaju wyroki na naszą dzielną i tak ofiarną w pełnieniu swej ciężkiej

służby Policję Państwową? Wszak każdy kto ma w pamięci zeszłoroczną zimę na Podolu z jej okropnemi mrozami i zawiejami — przyzna, że bardzo dużej siły charakteru i poczucia obowiązku wymaga wyśledzenie i schwytanie na gorącym uczynku takiego wnykarza przez posterunkowego pana Pojnara, który — jak mnie zapewniano — na szczególne uznanie w kołach myśliwskich za skuteczne tępienie kłusownictwa już sobie zasłużył.

Tymczasem dzielny funkcjonarjusz P. P. widzi, że praca jego i wysiłek na nic! Przeciwnie! Taki hajdamaka wyśmiewa się z niego i ufny w dalszą bezkarność — broi dalej.

Tak być nie powinno!

Czyż swego czasu wydane instrukcje odnośnie do „Prawa Łowieckiego" przez Pana Prezesa Sądu Apelacyjnego, Dra Czerwińskiego do władz sądowych są bez żadnego znaczenia dla sądu Zborowskiego?

Dlaczego Pan Prokurator nie wniósł zażalenia na taki wyrok?

W nadziei, że miarodajne czynniki zwrócą uwagę na te nieprawidłowości — kończę tę korespondencję — zwracając się do PP. Delegatów M. T. Ł. z prośbą, by wszystkie tego rodzaju wyroki zechcieli podawać do wiadomości „Łowca" a może w myśl zasady, że „gutta cavat lapidem non vi sed saepe cadendo" — uzyskamy jakąś dodatnią zmianę w jurysdykcji naszych sądów.

W. M.

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 17 marca 1930 r.

Przewodniczący Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi A. Mniszek, i A. Sander, członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, Wł. Garapich, Dr. J. Rosienkiewicz, zastępcy M. Chrzanowski i St. Madeyski.

Nieobecność usprawiedliwili: St. Jaśkiewicz, A. Papara, Dr. M. Małaczyński, Dr. Fr. Piechowski, Dr. W. Ziembicki.

Prezes przedstawił, że na obradach Zarządu Głównego P. Z. St. Łow. odbytych 12 b. m., przeważyło zdanie, iż udział łowiectwa polskiego w tegorocznej wystawie łowieckiej w Lipsku jest koniecznym.

Wobec tego przedstawienia, Wydział M. T. Ł. powziął rezolucję, by przeprowadzić ponownie usilną propagandę za obesłaniem tej wystawy przez Koła łowieckie Małopolski.

Przyjęto do wiadomości sprawozdanie Delegatów Wydziału z ich udziału przy otwarciu wystawy urządzonej przez Oddział lwowski Państwowej Rady ochrony przyrody.

Na ołtarz Św. Huberta złożyli w dalszym ciągu: Potocki hr. Maurycy 300 zł.

Lwowska Spółdzielnia Myśliwska

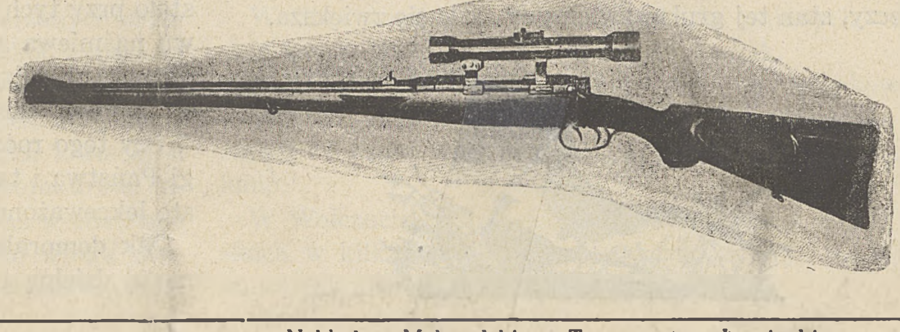
przy ul. Akademickiej 4

została zlikwidowaną i przeszła na własność kilku znanych myśliwych naszych, którzy nabyli ją, chcąc uratować tę placówkę polskiego kupiectwa we Lwowie i prowadzić ją będą nadal, pod firmą

LWOWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA.

Polecamy ją Myśliwym naszym, a nowonabywcom przesyłamy najserdeczniejsze Szczęść Boże!

Red.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16